

WISŁOCKA

czyli

JAK TO
ZE SZTUKĄ
KOCHANIA
BYŁO



KONRAD SZOŁAJSKI

WISŁOCKA

czyli

JAK TO
ZE SZTUKĄ
KOCHANIA
BYŁO


Świat Książki
wydawnictwo

Wydawca
Joanna Laprus-Mikulska

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejka

Redakcja
Agnieszka Niegowska

Korekta
Jadwiga Piller
Ewa Grabowska

Copyright © by Konrad Szolański, 2017
Copyright © for this edition by Świat Książki Sp. z o.o., 2017

Świat Książki
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Druk i oprawa
Abedik S.A.

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-586-0
Nr 90090052

Gosi



OD AUTORA

Jest to historia walki o to, co dziś wydaje się oczywiste. Trudno uwierzyć, że nie tak dawno temu był to jednak problem polityczny. Trwały poważne dyskusje, czy i jak można osiągać orgazm w państwie realnego socjalizmu. Choć od lat siedemdziesiątych upłynęło niespełna pół wieku, zmiany, jakie zaszły w naszym życiu, czynią tamtą epokę bardzo odległą.

Aż strach to pisać, ale tamte czasy były chyba całkiem niezłym okresem w historii Polski, a już na pewno najlepszym w dziejach tej, którą określano mianem „ludowej”. Mimo że nadal w orbicie radzieckiej, kraj – kierowany przez ówczesnego pierwszego sekretarza PZPR Edwarda Gierka (dziś nawet przez Jarosława Kaczyńskiego uznawanego za patriotę) – stopniowo otwiera się na świat. Kościół, choć w polskim wydaniu nadal konserwatywny, zyskuje w tym czasie swobodę działania; po latach zakazów zaczyna się religijny boom budowlany, świątynie rosną jak grzyby po deszczu, a masowe pielgrzymki maszerują już bez przeszkód do coraz liczniejszych maryjnych sanktuariów. Niebawem papieżem zostanie pierwszy w historii Polak, popularny krakowski kardynał i zapalony narciarz, Karol Wojtyła. I stanie się symbolem przemian, w szczególności ponownego złączenia kraju z „cywilizowanym” światem.

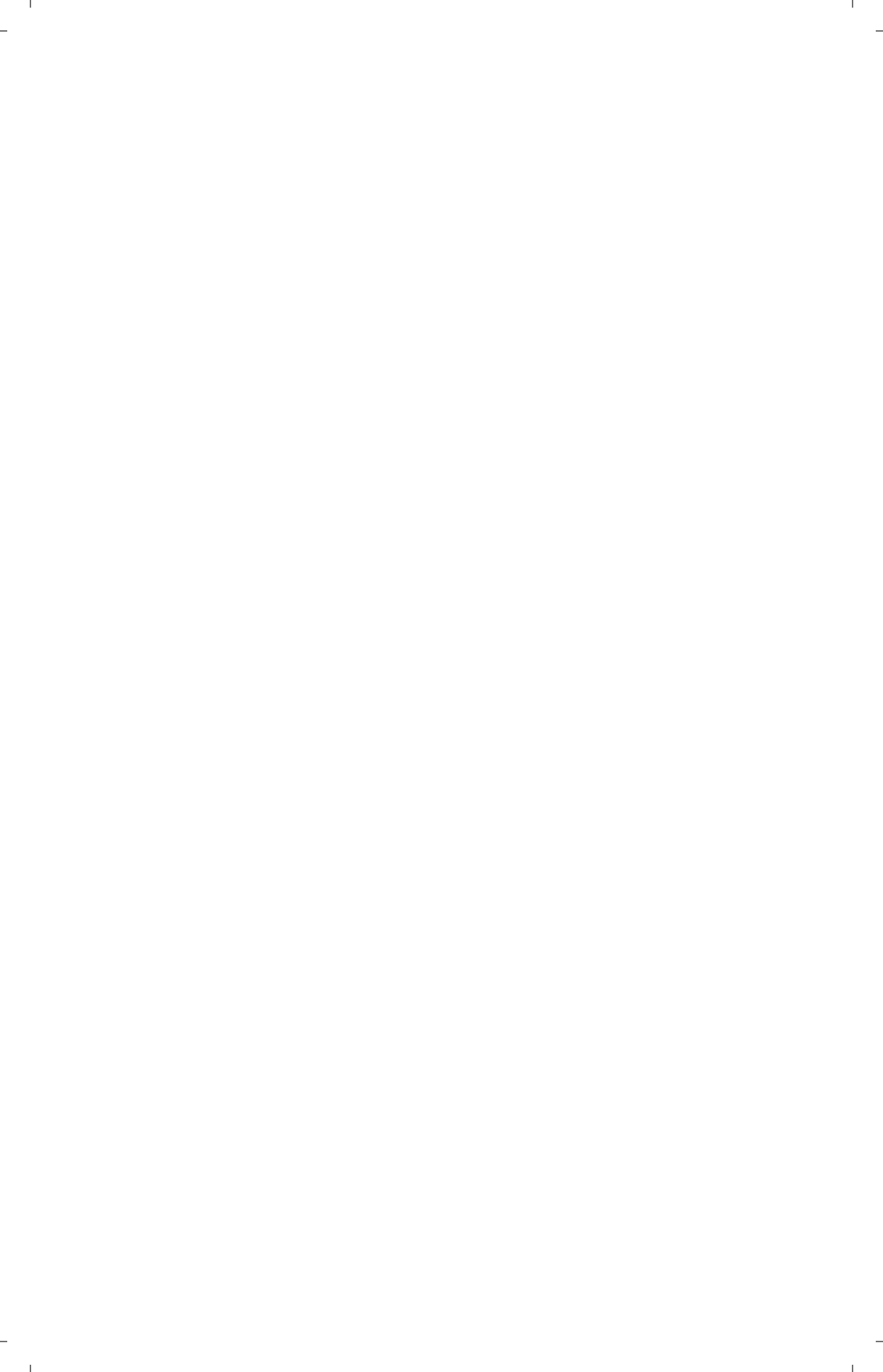
Jednym z elementów kultury Zachodu, która w latach siedemdziesiątych coraz mocniej przenika do Polski, podkopując „tradycyjne” wartości, jest – ku zgorszeniu zarówno komunistycznej władzy, jak i Kościoła – otwarty stosunek do seksu. Tu partyjni sekretarze działają ręką w rękę z biskupami, a wspiera ich rodzima pruderia. Na pilnie strzeżonych granicach celnicy wyciągają podróżnym z bagaży i konfiskują wszelkie „świerszczyki”. W kraju cenzura kontroluje wszystkie media i pilnuje, by obywatele PRL nie tylko nie czytali wywrotowej literatury, ale też nie mieli żadnych „nieobyczajnych” wzorców i żyli (przynajmniej oficjalnie) w cnocie. Socjalistyczne społeczeństwo trwa w przekonaniu, że seks to temat tabu, nawet bardziej przez państwo chronione niż urzędowy kult marksizmu-leninizmu.

Niebawem ma się to zmienić – i to za sprawą uporu jednej kobiety, porzuconej przez męża i dramatycznie szukającej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało. Co doprowadziło do rozpadu jej związku? Korzystając ze swojej wiedzy medycznej i osobistych doświadczeń, poświęca ona mnóstwo energii badaniu przyczyn swojej kobiecej klęski, a następnie pisaniu vademecum dla par, mającego uchronić je przed zdradą i rozstaniem.

Stworzona przez nią książka okaże się wkrótce polskim bestsellerem wszech czasów (nakład przekroczy siedem milionów egzemplarzy!). Odbierana przede wszystkim jako bezpruderyjny poradnik erotyczny, doskonały instruktaż seksu, rozchwytywana będzie przez wszystkich niczym podziemny samizdat. W 1978 roku, pamiętnym roku wyboru Karola Wojtyły na papieża, ukaże się pierwsze oficjalne wydanie *Sztuki kochania*, wcześniej rozpowszechnianej czarnorynkowo na bazarach, w formie odbitek. Niebawem zrodzi się „Solidarność”, rozpocznie upadek systemu komunistycznego, a doktor Michalina Wisłocka nauczy kobiety – w ojczyźnie i krajach „obozu postępu”, od NRD po Chiny Ludowe – jak osiągać orgazm.

Bohaterami mojej opowieści o tym, jak do tego doszło, są zarówno osoby autentyczne, często występujące pod własnymi nazwiskami, jak i postaci fikcyjne – wymyślone, ale mające odpowiedniki w rzeczywistości, a niekiedy będące syntezą kilku realnie istniejących osób. Fabuła oparta jest na faktach, co nie znaczy, że wszystko musiało zdarzyć się tak, jak to zostało opisane.

Chociaż mogło...



PROLOG

– Różne warianty stosunku... Jeżeli członek jest mały, a wejście do pochwy duże, kontakt wzajemny jest słaby... – podyktowała Michalina i urwała, pocierając czoło. – Nie, nie tak, poczekaj... – I ruszyła wzdłuż pokoju, gwałtownie gestykulując.

Była jak zawsze w chustce; utrzymywała, że cierpi na krioalergię – nadwrażliwość na zmiany temperatury. Niewątpliwie pomagało to uniknąć kłopotów z fryzurą. Ubierała się przy tym w nieco egzotyczny, fantazyjny sposób: jej strój nie wyglądał na kupiony w jednostce handlu uspołecznionego, a raczej na wymyślony przez pełną wyobraźni prywatną krawcową. Na oko Michalina miała około pięćdziesiątki i rozpierała ją energia – aż trudno jej było usiedzieć.

Irena, sekretarka, zachowywała się dla odmiany bardzo spokojnie. Metodycznie stukwała w klawisze – cierpliwie, strona po stronie. Uniosła głowę znad maszyny i patrząc pytająco na spacerującą po pokoju lekarkę, czekała na dalsze instrukcje.

Michalina zaglądała do notatek na biurku, to znów patrzyła przez okno, jakby szukała inspiracji.

– Skreśl i napisz tak: Jeżeli członek jest krótki, a wejście do pochwy dość luźne, kontakt wzajemny jest bardzo słaby. Kropka – podyktowała, po czym rzuciła komentarz: – Tak lepiej, bo „mały” brzmi trochę negatywnie, jakoś upokarzająco. A „krót-

ki” będzie dla czytelnika, zwłaszcza faceta, łatwiejsze do zaakceptowania, prawda? Ten twój tak by na pewno wołał, co?

– Chyba tak – zgodziła się Irena. – Ale on ma wszystko akurat tak, jak trzeba.

– Nie każdy ma takie szczęście jak ty, moja droga. Dalej wykreśl to, co było, i pisz tak: Dodatkowo członek, nie sięgając szyjki macicznej, nie może zostać objęty przez ścianki pochwy...

– Moment... – Irena pogubiła się w poprawkach, więc skreśliła całe poprzednie zdanie i zaczęła akapit od nowa.

Kobietom przyglądał się leżący na fotelu jamnik. Ziewnął, przymknął oczy i zwinął się z powrotem do spania. Ale sprzyjająca drzemce cisza trwała tylko moment. Zza okna dobiega natarczywy odgłos bicia kościelnych dzwonów. Michalina spostrzegła gromadkę w strojach komunijnych. Dzieci szły Podwalem, skręciły w Piekarską – zapewne zmierzały do pobliskiego kościoła św. Marcina. Dziewczynki w białych sukienkach, chłopcy w zbyt poważnych dla nich granatowych garniturach, pod krawatem, niektórzy nawet z muszką. Jeden z małych elegantów wyglądał się, strojąc miny, a trzymaną w ręce świecę machał energicznie, próbując podnosić dziewczynkom spódniczki, jakby chciał zobaczyć, jakie mają majtki.

Michalina uśmiechnęła się i poprawiła chustkę na głowie. Wracała do pracy.

– Przepraszam, na czym skończyłaś? – zapytała.

– Nie może zostać objęty przez ścianki... – odczytała Irena.

– ...pochwy. I dalej pisz tak: Natomiast u młodej kobiety w dobrze umięśnionej wąskiej pochwie spełnia on swoje zadanie zupełnie prawidłowo... Członek bardzo długi wchodzi do pochwy nazbyt głęboko i potracając szyjkę, sięga aż do tylnego sklepienia.

Kolejne strzały, które Rafał Dominiak oddawał, trafiały w sam środek tarczy. Miał oko. Odłożył broń – ćwiczenia zaliczył z wynikiem bardzo dobrym.

Przeżył pistolet i ruszył z powrotem do biura mieszczącego się na trzecim piętrze w budynku MSW przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Wciąż nie mógł uwierzyć, że mu się tak wszystko udaje. Chyba po prostu sprzyjało mu szczęście. Wstąpił do Służby Bezpieczeństwa zaraz po studiach, zachęcany przez ojca milicjanta perspektywą ciekawej pracy, znacznie bardziej ekscytującej od belfrowania w liceum. Bo co mógłby robić jako polonista z dyplomem Wyższej Szkoły Pedagogicznej? A teraz, choć nadal wyglądał z pozoru zwyczajnie, jak każdy, był już oficerem – porucznikiem. Miał dostęp do tajnych informacji. Wiedział więcej niż inni. Służył ojczyźnie jak żołnierz, ale do pracy chodził po cywilnemu – miał nie zwracać na siebie uwagi, gdy realizował tajne zadania wymagające dyskrecji i anonimowości.

Cały czas żył jeszcze radością, jakiej doznał, kiedy dowiedział się o awansie. Naprawdę miał szczęście. Został świeżo przeniesiony do stolicy. W rodzinnym mieście długo starał się wykazać. W końcu udało mu się zwrócić uwagę przełożonych, gdy dzięki anonimowemu donosowi nakrył szwindel w cementowni pod Opolem – połowa produkcji szła na lewo. Z wykradzionego materiału powstało w okolicy mnóstwo jednorodzinnych domów, kilka prywatnych chlewni i przynajmniej dwa kościoły... Jako dziecko Rafał zawsze chciał tropić złoczyńców i teraz – w dorosłym życiu – wreszcie stało się to jego udziałem. Skrycie marzył, by jak Sherlock Holmes rozwiązywać zagadki kryminalne metodą dedukcji. Przeczytał wszystkie tomy Conan Doyle'a, które udało się zdobyć w opolskich bibliotekach: od *Studium w szkarłacie* po *Psa Baskerville'ów*. Wyrobił w sobie nawyk dokładnego analizowania wszelkich poszlak, nawet najdrobniejszych. Nie był może zbyt lotny, ale dzięki pracowitości zyskiwał przewagę nad kolegami, bardziej skłonny do nadużywania trunków niż mozolnego siedzenia nad papierami. Zdobył przez to ksywę „Mrówka”, choć wolał, gdy mówili o nim „Sherlock”, nawiązując do jego pasji detek-

tywistycznej oraz fajki, którą kupił, by tak jak Holmesowi pomagała mu skupiać się nad szczegółami prowadzonej sprawy.

W nagrodę za spektakularny śledczy sukces w walce z przestępczością gospodarczą na Opolszczyźnie dostał z żoną służbowe mieszkanie w stolicy. Wprawdzie przydział był tylko na kawalerkę, ale automatycznie gwarantował cenny warszawski meldunek. Miasto zamknięte, pracy bez meldunku się nie załatwi, a meldunku nie sposób zdobyć bez warszawskiego mieszkania lub zatrudnienia... Zakłęty krąg niemożności. Rafał przełamał ten impas i wiedział, że teraz oto otwierają się przed nim perspektywy. Może nawet wyślą go kiedyś ze specjalną misją za granicę? I odwiedzi Muzeum Sherlocka Holmesa przy Baker Street 221b w Londynie?

Teraz, wezwany przez szefa, rażnym krokiem wszedł do gabinetu.

– Melduję się, towarzyszu pułkowniku.

Pułkownik Zdzisław Machała był jak zwykle po cywilnemu, wystrojony w nieco staromodny przyciasny granatowy garnitur z krawatem. Od początku pracy w resorcie nosił takie ubrania, by dodać sobie powagi. Karierę zrobił dzięki aktywnemu piętnowaniu syjonistów w sześćdziesiątym ósmym roku – wówczas to szybko awansował, przeskakując w krótkim czasie kilka szczebli. Doskonale znał reguły gry. Przede wszystkim nie wolno podpaść, bo to oznacza kłopoty, czasem rujnujące wieloletnie starania o awans generalski, na który cierpliwie czekał. Podobnie jak jego żona, a może ona jeszcze bardziej. Zostać generałową – to byłoby coś! Zupełnie inna pozycja. Powtarzała mu to do znudzenia! Nawet podając obiad, potrafiła o tym tak jakoś niby żartem wspomnieć – że bardziej by im smakowało, gdyby on miał na spodniach lampasy... A w łóżku to lubił, jak szeptała do niego: „Generale, do boju!”. Tak się w to wczuł, że również inne kobiety, z którymi sypiał na resortowych szkoleniach, instruował, by właśnie w ten sposób do niego mówiły. Jakoś mu wtedy bardziej seks smakował.

– Towarzyszu pułkowniku... – Rafał nieśmiało przypomniał o swojej obecności.

Zamyślony Machała uniósł wzrok znad papierów i patrzył na młodego porucznika przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę.

– Siadajcie, Dominiak... Przeczytałem wasz raport. Ładnie napisany. Wy jesteście z wykształcenia filozof?

– Nie. Filolog. Magisterkę pisałem z literatury dwudziestolecia.

Machała z uznaniem kiwał głową.

– No... filolog. I dobrze o was słyszałem... Mówili: świetnie rozpracowuje, przykłada się, żadnego szczegółu nie przepuści, przenikliwy niczym Sherlock Holmes...

Rafał lekko się zarumienił w poczuciu zasłużonej pochwały. Jest szansa, że i tu jego zaangażowanie zostanie zauważone.

Pułkownik wziął do ręki raport... i nagle walnął nim w stół, aż echo niosło się po gabinecie.

– No i wasze pierwsze zadanie koncertowo spierdoliliście. – Machała przestał być przyjaznym wujkiem, a w jego głosie dzwięczało coś bardzo nieprzyjemnego. – Mielicie obserwować figuranta, tak?

Zaskoczony niespodziewaną zmianą nastroju Rafał nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Tak... Sprawdzić, co robi i tak dalej... Przez cały pobyt był pod obserwacją. Moją osobiście lub trzech wywiadowców z przydzielonej grupy A...

– Wiem, wiem! – przerwał pułkownik. – I dobrze, żeście czujnie obserwowali i notowali, co je, kiedy pije, kiedy ma ochotę na dupczenie oraz jak i kiedy to robi. Ale kto wam kazał pisać w raporcie z kim? I to bez zgody przełożonego?

– Nie rozumiem...

– No, dlaczegoście napisali, że robił to z towarzyszką... – pułkownik zawiesił głos. – Nawet nie chcę jej nazwiska wymieniać! Po co to zrobiliście?

– Udało mi się namierzyć, to podałem. Żle? – zdziwił się Rafał.

– Wy naprawdę nie wiecie, kto to jest?

– Nie... – wyszeptał Rafał, gorączkowo myśląc, gdzie popełnił błąd, ale nie miał czasu na dedukowanie, bo pułkownik mówił dalej.

– No to już rozumiem. Jesteście z prowincji. Skąd was przeniesiono?

– Z Opola – wykrztusił Rafał, jakby przyznawał się do zrobienia czegoś wyjątkowo niestosownego.

– No tak... A ta towarzyszka, przemilczmy nazwisko... Po wiem tyle, że pracuje dla nas ideowo i że umie to robić. Lubi te sprawy i jest w tym nie do zastąpienia, taki samorodny talent. Kiedy ją zerznie cudzoziemiec, najlepiej kolorowy, to ona ma odłot. Teraz rozumiecie?

– Co mam nie rozumieć. Z kobietami różnie bywa.

– Ale chyba nie rozumiecie, że jakby się jej ojciec dowiedział, to nie byłoby dobrze. Dla nikogo. A szczególnie dla nas.

– A kto jest jej ojcem? – Rafał był wyraźnie zaintrygowany, ale jego dociekliwość w tym wypadku nie wzbudziła w pułkowniku entuzjazmu.

– Lepiej nawet nie pytajcie! – Machała wznosił oczy w górę. – Na szczęście to nie poszło dalej, bo coś mnie tknęło, żeby przeczytać, sprawdzić... I uratować dupę sobie i wam! Dobrze, zapomnijmy o tym... – zmienił ton z powrotem na grzeczny i miły. – Ale szybko przepiszcie ten cholerny raport tak, żeby tego jej nazwiska nie było.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku, postaram się na drugi raz...

Pułkownik machnął tylko ręką.

– Darujcie sobie tę wazelinę, Dominiak, i nie spierdolicie niczego więcej.

Rafał ruszył do wyjścia, ale znowu usłyszał za plecami głos pułkownika:

- Aha, mówią, że macie fajkę, czy to prawda?
- Rafał odwrócił się.
- Czasem zapalę. A co w tym złego?
- Nic, ale lepiej uważajcie, bo to się niektórym towarzyszom burżuazyjnie kojarzy.

Towarzysz Jan Malak, starając się nie wejść w błoto, ostrożnie prowadził dziecięcy wózek wzdłuż dopiero powstającej ulicy.

Chcąc nie chcąc, pomagał w ten sposób córce. Często na kilka dni tajemniczo znikala i Malak przejmował wówczas rolę opiekunki dla niespełna dwuletniego chłopca, zadziwiająco grzecznego i niesprawiającego dziadkowi problemów. Rok wcześniej udało mu się załatwić to nowe, duże mieszkanie, w którym ulokowali się we trójkę, gdy doszło do rozwodu i córka nie miała gdzie się z dzieckiem podziąć.

Pogoda była na tyle ładna, że kałuże nieco powysychały. Blokowisko na Ursynowie, mimo że szarobetonowe, w słońcu wyglądało nawet dość przyjemnie. Był to jeszcze w dużej mierze plac budowy, z pracującymi dźwigami, warczącymi wywrotkami i robotnikami chodzącymi w kaskach. Rozmach inwestycji robił wrażenie – od zera powstawała tu kilkudziesięcioletnia nowoczesna dzielnica. Mimo trudności w poruszaniu się na nieutwardzonych ścieżkach szczęśliwi lokatorzy rażno dreptali między budynkami; mieli nadzieję, że niebawem pojawią się tu chodniki i drzewa, a z czasem może nawet i sklepy?

Codziennie przed pracą Malak zabierał wnuka na spacer, dumając przy okazji nad swoim życiem. On, syn niepiśmiennego chłopca małopolskiego z Podlasia z ósemką dzieci i słabością do alkoholu, otrzymał dar od losu – jako nastolatek postawił na dobrą kartę i w 1944 roku wstąpił do PPR-u. Na początku ofiarnie pracował w aparacie bezpieczeństwa, umacniając władzę ludową. Nie miał żadnych skrupułów w tępieniu wrogów ustroju sprawiedliwości społecznej i został za to sowicie wy-

nagrodzony. Zrobił maturę, ukończył studia, pisząc pracę z wybranych zagadnień marksizmu-leninizmu. Piął się mozolnie w górę aż po stanowiska, o których wcześniej nawet w najśmielszych snach nie marzył. Partia, prowadząca naród do komunizmu, była dla niego wszystkim; zawdzięczał jej swój niewyobrażalny awans. O tym, że wybrana droga była słuszną, świadczyła nie tylko jego błyskotliwa kariera, ale także to szybko budujące się, piękne socjalistyczne miasto. Malak byłby szczęśliwy, gdyby nie problemy prywatne, z jakimi zupełnie nie mógł sobie poradzić. Z jednej strony uwielbiał i córkę, i wnuka, z drugiej – nie potrafił pogodzić się z dość nietypową sytuacją, w jakiej się znaleźli. Zapoczątkowała to wszystko żona, ale o niej wołał w ogóle nie myśleć. Okazała się zdradziecką suką i to zamykało temat byłej pani Malakowej. Wszystkie uczucia przelał na wnuka Bogdana, dziedzica nazwiska, choć dziecko nie do końca było takie, jak by chciał. To właśnie sprawiało największy ból.

Złośliwy chichot hałasty, która często towarzyszyła porannym spacerom Malaka, niestety niemal codziennie dobitnie mu przypominał, że jego ukochany wnuczek Boguś jest czarny jak smoła i zupełnie nie wygląda na polskie, słowiańskie dziecko.

– „Murzynek Bambo w Afryce mieszka” – ryczała ruda dziewczyna, a druga, gruba i piegowata, wtórowała jej:

– „Czarną ma skórę ten nasz koleżka!”.

– „Mama powiada: Chodź do kąpielni” – wył chudy chłopak, a jego tłusty kolega pisał:

– „A on się boi...”.

– „...że się wybieli” – darł się najmniejszy, o wyglądzie albinosa.

– „Szkoda, że Bambo czarny, wesoły, nie chodzi razem z nami do szkoły” – wrzeszczały zgodnym chórem małe potwory i rżały okrutnym dziecięcym śmiechem, póki Malak nie dopadł samochodu, który właśnie podjeżdżał pod blok.

Była to jego służbowa czarna wołga. Dobrze znający swoje

obowiązki młody kierowca szybko złożył wózek i schował do bagażnika. Malak wsiadł z wnukiem na tylne siedzenie i ruszyli. Po drodze przystanęli przy budynku żłobka, w którym mały spędzał czas dopóty, dopóki dziadek czy mama go nie odebrali. Na szczęście tu wszyscy przyzwyczaili się już do odmiennego koloru skóry Bogusia i nawet lubili się z nim bawić.

Skąd ten rasizm wśród dzieci na nowym socjalistycznym osiedlu? – zastanawiał się Malak, dojeżdżając do pracy, Komitetu Centralnego Partii. Był tu wysokim urzędnikiem, miał gabinet, sekretarkę i poczucie, że służy wielkiej sprawie, która wymaga nieustannej czujności i pilnowania, by wróg klasowy nie sprowadził narodu na manowce, a Malaka nie strącił z powrotem do ugorów jego rodzinnej wioski.

Pracę załatwiła Joannie koleżanka, która przechodziła na emeryturę. Robota w kiosku nie była wymagająca, trzeba było odsiedzieć swoje i tyle. Trochę papierkowej roboty z rozliczaniem utargu. Poza tym spokój. Można obserwować ulicę i po cichu odmawiać różaniec. Tylko lepiej nie rzucać się z tym w oczy, bo to nigdy nie wiadomo, co komu do głowy przyjdzie i doniesie gdzie nie trzeba. Dyskrecja jest ważna. Joanna wydawała resztę, podsuwała klientowi gazetę i wracała do swojej cichej modlitwy. To nie to samo co w kościele, ale zawsze zasługa.

Najbardziej lubiła majowe nabożeństwa, zwłaszcza wieczorne. Przychodziła do kościoła w poczuciu bezpieczeństwa, bo odkąd odbyła pieszą pielgrzymkę i zawierzyła, jakoś wszystko zaczęło zmierzać w dobrym kierunku. Nawet śmierć męża nie była potem tak straszna, jak by się mogło wydawać... Ku swemu zaskoczeniu przyjęła ją wręcz z ulgą. Szczególnie że dzień przed agonią uprosiła księdza – przyszedł, a bezbożny Jasiak przystąpił do sakramentu pokuty, czego nie robił przez lata... Przyjął Pana Jezusa. Potem odszedł, uśmiechnięty, przepraszając za wszystko co złe, co tyle lat robił jej i innym. Ona

sama też za młodu błędziła... Szatan triumfował, gdy – odczuwając cielesną pokusę – grzeszyła, nie zachowując czystości przed zamążpójściem. Jasiak ją namówił... a potem... potem zgodziła się na tę straszną rzecz, którą nazywali zabiegiem. Po tym wszystkim długo nie umiała znaleźć drogi w życiu... Jednak kiedy spotkała księdza Piotra, poczuła, że jest inaczej, lepiej, godniej...

Jego kazania, rekolekcje, cierpliwość w wysłuchiowaniu spowiedzi, wszystko to pokazało, że świat może być inny od tego, jaki znała. Przez lata Jasiak na przemian pił i bił ją, czasem po kielichu zmuszając do współżycia, którego coraz bardziej nienawidziła, podobnie jak jego samego. Bo właściwie to były gwałty, którym się poddawała, zaciskając zęby i modląc się, żeby szybciej skończył. W dodatku używał tych okropnych kondomów, przez to i ją przywodząc do grzechu. A kara ich spotkała za to taka, że później, jak już chcieli, to potomstwa nie było. Nie pomogły wizyty u lekarzy, zielarzy, znachorów... Ile na to pieniędzy poszło... i nic. Przez to on pił coraz bardziej. Zresztą każdy pretekst był dobry.

Ksiądz Piotr pomógł jej zrozumieć, że choć posłuszeństwo w małżeństwie jest ważne, to czystość serca powinna być na pierwszym miejscu. A ubezpłodnianie jest najgorsze. Misja przekazywania życia to sens sakramentu małżeństwa. Inaczej – jest kara, na przykład nie ma się dzieci. Jak sobie, człowieku, pościelesz, tak się wyśpisz. Bóg wszystko widzi i pamięta.

Joanna właściwie od dawna nie miała żadnej potrzeby współżycia. Skoro nie była w stanie począć, to po co? Tylko z tego wstyd i zgorzelenie. Natomiast czuła się dobrze, gdy zamiast cielesnie grzeszyć z Jaśkiem, zamykała się przed nim w łazience i pokornie, klęcząc przy wannie, odmawiała różaniec. Najpierw po cichu, potem głośno, by Jasiak także słyszał... Wtedy ogarniała ją prawdziwa radość, niosąca duszę w górę, prosto do nieba. Modliła się i długo rozważała, jakież to uczynki będą najbardziej godne i Bogu miłe... I dziś, nagle, zrozumiała, co

ma zrobić, poczuła, że to objawienie prosto od Najświętszej Pani. Obiecała, że powierzona misję zrealizuje – i wydało jej się, że dostrzegła uśmiech na twarzy Matki Odkupiciela. Małą kopię obrazu Pani Jasnogórskiej miała bowiem przypiętą od środka do szyby kiosku, tuż poniżej wizerunku Pana Jezusa Promieniującego, a obok Anioła Stróża i Ducha Świętego wyobrażonego jako biała gołębica. Tak to ich sobie ułożyła, by nikt nie zdołał z zewnątrz zobaczyć, a sama mogła się do nich modlić do woli, dobrze strzeżona i zabezpieczona od wszelkiego zła.

Wyjęła igłę. Sprawdziła – ostra. Wzięła do ręki opakowanie. Ten straszny napis: „Stomil Eros”... To było narzędzie grzechu, które przyczyniało się do nieuporządkowania moralnego, przed którym tak przekonująco ostrzegał ksiądz Piotr. Joanna uklękła. Przeżegnała się. Nakłuła pierwsze opakowanie... Przebiła ochraniający plastik i ukrytą w środku ohydą gumę, ale tak, by otwór był malutki, praktycznie niezauważalny. Czowała, że coś ją jakby unosi, stawała się coraz lżejsza i coraz czystsza. Ci, którzy potem kupią i użyją tego kondoma, choć przez to zgrzeszą, nie będą świadomi, że ich błąd ona właśnie odkupiła, zmasała tą poświęconą igłą, którą robiła dziurki, tak by tylko od Boga teraz zależało, czy dojdzie do poczęcia życia, czy nie.

Przedziurawiła następne opakowanie. I następne. Małeńkie otwory były niemal zupełnie niewidoczne, a przecież uchronią ludzi przed nieprawością.

– Jest pani tam...? – usłyszała i podniosła wzrok. – Sporty i trzy erosy poproszę.

Chłopak stał przed kioskiem, nawet wcale niespieszony. Położył banknot.

Joanna podniosła się z kolan, podała paczkę papierosów i przez chwilę się wahała. Miała teraz władzę, prawie jak kapłan – mogła uchronić młodego człowieka przed grzechem. Modliła się przez moment... A potem podała chłopakowi opa-

kowanie z kupki przedziurawionych. Niech Bóg zadecyduje, co będzie.

– Tu ma pan dwa złote reszty – powiedziała i uśmiechnęła się promiennie.

Czuła się szczęśliwa. Dobry uczynek – będzie zasługa.

Na wieczornej mszy przystąpiła do eucharystii. Nawet się nie spowiadała; wiedziała, że jest w stanie łaski. Po nabożeństwie ksiądz Piotr mówił pięknie o ochronie życia. Że powołują Ruch Obrony Dzieci Poczętych „Gaudium Vitae” i że trzeba się zgłaszać. Zachęcał do działania.

– Bierność jest grzechem – mówił. – Każdy powinien bronić nienarodzonych. Naszym obowiązkiem jest głoszenie wiary, czystości i miłości Bożej.

Wtedy poczuła, że została powołana. Zgłosiła się, a ksiądz wpisał ją na listę. Postanowiła, że przekłuje wszystkie diabelskie kondomy, jakie jej wpadną w ręce. I powie mu o tym dopiero wówczas, gdy dokończy dzieła. To będzie jej dar dla Najświętszej Pani.